

Tematy Tygodnia

- 12 Mariusz Janicki,
Wiesław Władyka
**Autobiografia prezesa PiS:
cokół pod własny pomnik**
- 16 Adam Szostkiewicz
**Za co polska prawica
nie lubi papieża Franciszka?**

Polityka

- 19 ROZMOWA POLITYKI
Antropolog kulturowy
prof. Waldemar Kuligowski
o społeczeństwach
wstydu i strachu
- 22 OGŁĄD I POGLĄD
Sławomir Sierakowski
Długi cień Kremla

Społeczeństwo

- 24 Ryszarda Socha
**Młodzi: apolityczni,
krytyczni, wycofani**
- 28 Rzecznik praw obywatelskich
Adam Bodnar o paraliżu
Trybunału Konstytucyjnego
i nowych porządkach
w sądach i prokuraturze
- 30 Juliusz Ćwieluch
**Polska działka
na dnie Pacyfiku**
- 33 Dlaczego 500 plus nie przełoży
się na więcej dzieci, opowiada
Maciej Frankiewicz, ojciec
7 chłopców i 5 dziewczynek
- 36 Marta Mazuś
**Krucjata byłego więźnia
Oświęcimia**
- 38 Elżbieta Turlej
Trudna miłość kazuarów

Rynek

- 40 Edwin Bendyk
**Sposób na popyt
– dochód gwarantowany**
- 43 Marcin Rotkiewicz
**Bezsensowna
ustawa o GMO**
- 46 Cezary Kowanda
**Samozwańczy rzecznik
praw kredytobiorcy**

Świat

- 48 Justyna Prus ROSJA
Doping polityczny
- 51 Marek Rybarczyk WIELKA
BRYTANIA **Theresa May**
– nowa trudna premier
- 54 Katarzyna Growiec ISLANDIA
**Kraj (znów) szczęśliwych
ludzi**



16

Franciszek niezgody



19

Pedagogika bezwstydu



24

Bierni dwudziestoletni



51

Lamparcica na Downing Street

Historia

- 58 Jak widzą rzeź wołyńską Polacy,
a jak Ukraińcy – rozmowa
z historykiem **Grzegorzem
Motyką**
- 61 Ryszard Marek Groński
Satyra narodowa
- 62 Tomasz Leszkowicz
**Pokazowa defilada
na Tysiąclecie Państwa
Polskiego**

Nauka

- 66 ROZMOWA
JACKA ŻAKOWSKIEGO
Naomi Klein o tym,
jak uratować świat
- 70 Marcin Ryszkiewicz
**Ile człowieka
w neandertalczyku**
- 73 TECHNOECHO

Kultura

- 78 Piotr Sarzyński **Galerie sztuki
bez nowej sztuki**
- 81 KAWIARNIA LITERACKA
Małgorzata Rejmer
- 82 Dorota Szwarcman
**„Zagubiona autostrada”:
polska wersja niezwyklej
opery**
- 84 Justyna Sobolewska
Literackie opowieści o wsi
- 87 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
- Ludzie i Style**
- 88 Paweł Walewski
Batalia o miejską ciszę
- 92 Marcin Piątek
Sekrety mocy kolarzy

Na własne oczy

- 100 Olga Gitkiewicz,
fotografie Michał Łuczak
**Jakie tajemnice
kryją schrony**

Stałe Rubryki

- 4 Mleczek i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 74 Afisz • 94 Passent
- 96 Hartman • 97 Tym
- 98 Do i od redakcji
- 99 Fusy, plusy i minusy
- 106 Polityka i obyczaj



GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Człowiek z hełmem na głowie

Z wywiadu z publicystą Janem Pospieszalskim dowiaduję się, że w kulturowej wojnie prawicy z lewakami kule ostro świszczą. „Nie wszystkie rany odniesione w walce zdążyły się zagoić. Hełm nie zawsze skutecznie bronił mnie przed odłamkami”, przyznaje Pospieszalski. Ale mimo że ten hełm zsuwa się na oczy, a pod hełmem kotłują się różne myśli, zawziętość Pospieszalskiego na lewaków nie słabnie. Chociaż nie kryje on, że o zwycięstwo będzie trudno, gdyż „strona liberalno-lewicowa wciąż ma olbrzymie środki nacisku i meblowania mózgów poprzez uniwersytety, kadrę akademicką, media”.

Oczywiście twardziele w hełmach tacy jak Pospieszalski nikomu nie pozwolą meblować swoich mózgów, ale wystarczy spojrzeć na mózgi niektórych redaktorów telewizji publicznej. „Dobra zmiana wcale nie oznacza, że większość pracowników tej instytucji przeszła na konserwatywną stronę” – ostrzega Pospieszalski, który nie ma wątpliwości, że gdyby wśród pracowników mediów publicznych zrobić ankietę, „spora część z nich opowiedziałaby się za uchyleniem prawnej ochrony życia poczętego i za adopcją dzieci przez pary jedнопłciowe”.

Z Polakami o źle umeblowanych mózgach dyskusja nie jest możliwa, bo nie o dyskusję im chodzi. Środowiska gejojskie,



powiada publicysta, udają, że walczą o ułatwienia w sferze prawa, ale wiadomo, że chodzi im „o przebudowę świadomości”, a w konsekwencji – „o przeróbkę człowieka i demontaż cywilizacji łaćcińskiej”. Efekt tych przeróbek będzie dramatyczny. „Np. jeśli inaczej spojrzę na faceta idącego tanecznym krokiem, to będę ścigany za mowę nienawiści” – przewiduje Pospieszalski, dając powód do podejrzeń, że hełm chroniący go przed atakami lewaków trochę za mocno uciska mu głowę. Nie wiem, co Pospieszalski ma do osób chodzących tanecznym krokiem, może ze strony tych osób spotkała go w przeszłości jakaś krzywda? Może np. te osoby okrutnie naśmiewały się z niezbyt tanecznego i nie dość wyzywającego kroku Pospieszalskiego, który niewykluczone, że z powodu swojego kroku był przez osoby chodzące tanecznym krokiem prześladowany? Nic dziwnego, że wzmożona aktywność osób o tanecznym kroku go niepokoi, np. aktywność burmistrza Słupska Roberta Biedronia, przeciwko któremu Pospieszalski osobiście zresztą nic nie ma, może z wyjątkiem tego, że do bycia dobrym burmistrzem „nie wystarczy taneczny krok ani tęczowe fatalaszki”.

Zgadza się z Pospieszalskim, że w kroku leży siła Polaka, dlatego Polak powinien chodzić polskim krokiem i nie może to być krok zbyt zalotny. Ale moim zdaniem ludzi o kroku roztańczonym, takich jak Biedroń, Pospieszalski nie powinien skreślać, tylko dać im jeszcze szansę. Kto wie, może pod wpływem jego programów się opamiętają i zaczną chodzić normalnie, jak Pan Bóg przykazał.



Barcelona

autostradą z Pruszkowa w 30 minut,
potem już prosto!

Lotnisko Chopina - blisko świata

[Kup książkę](#)



LOTNISKO
CHOPINA
WARSZAWA

Złe słowa, złe czyny



Jerzy Baczyński

W konkursie na najciekawsze cytaty tygodnia powinien wygrać Mariusz Błaszczak, i to zajmując trzy pierwsze miejsca. Tuż po zamachu w Nicei minister spraw wewnętrznych polskiego rządu zabrał głos, oświadczając: „To jest konsekwencja polityki multi-kulti i poprawności politycznej”. Dociskany przez media dorzucił jeszcze LGBT. W wieczornym wywiadzie telewizyjnym dopytywany, jak on sam zapobiegłby takiemu atakowi, odmówił praktycznych wskazówek, ale powtarzał, że odpowiedzią jest „powrót do chrześcijaństwa” i – ponownie – „odrzućcie poprawność polityczną”.

Zostawię w spokoju myśli ministra o związkach między LGBT a zamachem w Nicei, bo jedyne, co mogę z tego dziwnego skojarzenia wycisnąć, to jakiś mętny zarzut, że władze Francji, zamiast wziąć się za terrorystów, promowały homoseksualizm. Non, excusez-moi, czy panu wszystko się z Tym kojarzy? Jak minister spraw wewnętrznych mógł nie zauważyć, że we Francji od wielu miesięcy obowiązuje stan wyjątkowy, że dzięki niebywalej mobilizacji służb (także uciążliwym kontrolom) nie doszło do żadnego (!) zamachu podczas trwającego miesiąc turnieju Euro, z udziałem setek tysięcy kibiców z całej Europy? Jak można tak nonszalancko prowokować los – na parę dni przed Światowymi Dniami Młodzieży – drwiąc (jak rozumiem) z policji francuskiej, że nie zapobiegła atakowi samotnego szaleńca na rozbawiony, niczego niespodziewający się tłum? Jak można wycierać sobie buzię wartościami chrześcijańskimi i jednocześnie kpić z pani minister Mogherini, że popłakała się, składając hołd niewinnym, bezsensownym ofiarom i współczując ich rodzinom, rozdartym bólem i rozpaczą. Taki pan jest katolicki macho, panie Błaszczak?

Jasne, wszyscy się domyślamy, jaki przekaz miał nieść ten potok słów i skojarzeń. Że jakby Francuzi nie wpuścili do siebie Arabów, nie byli tacy multi-kulti wobec różnych odmieńców (od islamu po LGBT) i przestali się z nimi cackać, toby ich terroryści nie zabijali. Akurat Republika Francuska nigdy nie hołdowała doktrynie multikulturalizmu (czytaj s. 11), ale pomińmy już te detale – sugestia min. Błaszczaka, że Francuzi powinni jakoś pozbyć się paru milionów podejrzanych obywateli, jest, mówiąc najdelikatniej, i spóźniona, i mało praktyczna. „Powrót do chrześcijaństwa”, w rozumieniu polskiego ministra, musiałby, logicznie, oznaczać domową wojnę krzyżową. Prawdziwy intelektualny atak husarii. Wiemy jednak, że ten wywód służy głównie wzmocnieniu ważnej części politycznego przekazu PiS: tylko my obronimy Polskę przed najazdem muzułmańskich hord. Nic to, że nawet posiadanie dużej mniejszości muzułmańskiej nie oznacza „automatycznie” aktów terroru (weźmy przykłady Niemiec czy Szwecji); w naszym wciąż jednolitym etnicznym kraju po to się nadmuchuje Urojonego Araba, aby min. Błaszczak i jego partyjni koledzy mieli nad kim odnieść imponujące zwycięstwo. Nicea albo życie. Na razie pisowska jazda, z braku islamistów, musi się ograniczyć do trawienia słów i pojęć. Jed-

ną z ofiar, chyba najbardziej z maltretowaną przez wielokrotne szarżę, jest, niestety, właśnie dobijana przez min. Błaszczaka, „polityczna poprawność”.

O tym, że trzeba skończyć w Polsce z polityczną poprawnością, mówił i pan prezydent Duda, i dosadnie sam pan prezes Kaczyński. Publicyści prawicowi uczynili z „PP” synonim lewackiego zidiocenia, cenzury, która nie pozwala nazywać rzeczy (i osób) po imieniu, „zabrania” otwarcie mówić o islamskim zagrożeniu dla naszej kultury i bezpieczeństwa, każe w „ciapatych cwaniakach” widzieć biednych uchodźców, a zboczenia traktować jako orientację seksualną. „Poprawność” stała się jakąś karykaturą, obciachem, którego nie wypada bronić nawet środowiskom lewicowym. Godzi się więc przypomnieć, choćby w charakterze epitafium, że owa wysmiewana PP to w istocie tylko norma językowa, wyhodowana w Europie Zachodniej i Stanach, która zaleca w tzw. dyskursie publicznym unikanie określeń i zwrotów, które mogą urazić, obrazić, naruszyć godność osób, o których się wypowiadamy czy z którymi polemizujemy. Emblemat PP widzieliśmy ostatnio na koszulkach piłkarzy na Euro: to słowo „respect” – szanuj. Mówiąc jeszcze inaczej, to pewien konwenans, zasada savoir-vivre’u, sugerująca, że lepiej jest w stosunkach między ludźmi unikać pochopnych uogólnień (Arab terrorysta, Polak antysemita itp.), nie stosować poniżającego, dyskryminującego języka w odniesieniu do cech, na które człowiek nie ma wpływu (płeć, orientacja seksualna, kolor skóry, kalectwo, wiek, także religia) i ogólnie gryźć się w język.

Oczywiście, wraz z ekspansją PP, toczyła się dyskusja o jej ekscesach, jak np. przymykanie oczu na nieprawość czy nadużycia ze strony dyskryminowanych grup czy mniejszości, tuszowanie naruszeń prawa (małżeństwa dzieci, obrzezanie dziewczynek, zemsta rytualna) w imię tolerancji kulturowej, wstrzymywanie badań nad różnicami rasowymi czy płciowymi, ograniczanie ekspresji satyrycznej, artystycznej i w ogóle wolności słowa. Zgoda. Ale nigdy straty wynikające ze stosowania PP nie przeważały nad korzyściami. Dziś trudno wyobrazić sobie funkcjonowanie bardzo zróżnicowanych współczesnych społeczeństw bez poprawnościowej konwencji. Walenie „prawdy” między oczy, otwarte „mówienie tego, co ludzie myślą”, przeniesienie do debaty publicznej szczerzej internetowej mowy nienawiści to prosta droga do społecznego piekła, wzajemnej stygmatyzacji, agresji. Aż do aktów terroru. Złe czyny zwykle zaczynają się od złych słów. Żyjemy w społeczeństwach, w których rzadko jakaś grupa polityczna czy społeczna ma absolutną przytłaczającą i trwałą większość; każdy z nas należy jednocześnie do jakiejś większości i mniejszości. Więc jeśli w tych nerwowych czasach mamy jakoś ze sobą wytrzymać, trzeba chuchać i dmuchać na poprawność polityczną, pamiętając, że chodzi tu nie o przymykanie oczu, ale ust, panie ministrze Błaszczak.

Jan Koza





Wyprzedaż po włosku

Włoski właściciel Pekao SA sprzedał duży pakiet akcji banku. Co to oznacza dla klientów?

Pekao SA, drugi największy bank działający w Polsce, prowadzi 3,7 mln kont osobistych i posiada prawie 160 mld zł aktywów. Do niedawna ponad 50 proc. akcji Pekao SA miał włoski gigant Unicredit. Jednak od ubiegłego tygodnia Włosi mają już tylko 40 proc. udziałów, bo resztę w trybie pilnym sprzedali. Oficjalnie nie wiadomo komu, ale podobno różnym inwestorom spoza Polski. Na razie zatem nic się nie zmienia, bo Unicredit wciąż może niezagrożony rządzić w Pekao SA. Jednak na giełdzie spekuluje się, że to prawdopodobnie tylko początek wyprzedaży, a za trzy miesiące Unicredit pozbędzie się kolejnych akcji. Włosi pilnie potrzebują dodatkowego kapitału, aby przetrwać własny kryzys bankowy. Najchętniej pewnie sprzedaliby całość Pekao SA, ale nie znaleźli kupca, który nie tylko byłby skłonny wyłożyć od razu ok. 18 mld zł, ale chciałby też zainwestować w kraju, gdzie rząd nie kryje swojej niechęci do zagranicznych bankowców.

Klienci Pekao SA zadają sobie na pewno pytania: bać się, uciekać do konkurencji, a może spokojnie przeczekać to zamieszanie? PiS na pewno by chciał, żeby Pekao dołączyło do grona „repolonizowanych” instytucji, czyli przeszło pod kontrolę banku z siedzibą w Polsce, najlepiej zarządzanego przez państwo. Jednak PKO BP nie może kupić Pekao, bo połączenie dwóch największych banków ograniczałoby konkurencję na rynku. Podejrzenia padają zatem na PZU, które mogłoby skupować akcje Pekao poprzez kontrolowany przez siebie Alior Bank. Ten jednak stanowczo temu zaprzecza.

Pekao SA jest na pewno łakomym, choć bardzo dużym kąskiem. To bank od lat konserwatywnie zarządzany, najpierw przez Jana Krzysztofa Bieleckiego, a od 2011 r. przez Luigię Lovaglio. Inaczej niż większość konkurentów nie udzielał kredytów hipotecznych we frankach i teraz ma o jedno zmartwienie mniej. Nigdy nie rozpieszczał klientów wysokim oprocentowaniem lokat, a i tak mógł liczyć na ich lojalność. W ubiegłym roku zarobił aż 2,3 mld zł.

Oszczędzających w Pekao może niepokoić, czy ich pieniądze nie pójdą na ratowanie włoskiej spółki-matki. Jednak Pekao to odrębna od Unicredit firma, do tego pozostająca pod kontrolą polskiej Komisji Nadzoru Finansowego. Gdyby Unicredit chciał od Pekao pożyczyć pieniądze, to KNF musiałaby na to wyrazić zgodę. Zresztą mało prawdopodobne, aby Włosi chcieli osłabiać córkę, która pozostaje jednym z nielicznych ich atutów. Co ciekawe, grupa Unicredit ma aktywa około 25 razy większe niż cały bank Pekao. Tymczasem na giełdzie cały Unicredit wyceniany jest dziś na niespełna 60 mld zł, a Pekao na ponad 30 mld zł. Na pewno trudno się rozstawać z taką perełką. C.K.

Arka zatopiona

Rosną koszty ratowania systemu kas oszczędnościowych SKOK. Kolejne bankructwa są kwestią czasu.

Nie widać końca krwawienia SKOK. Upadła już szósta kasa, a pięć kolejnych zostało przejętych przez banki. Jeszcze dwa lata temu działało w Polsce 55 SKOK, teraz zostało już ich tylko 44. Ile kosztuje sprzątnięcie tego bałaganu, spowodowanego brakiem przez lata odpowiedniego nadzoru nad SKOK? W przypadku kas, które upadły, trzeba wypłacić oszczędności klientom do wysokości 100 tys. euro na osobę. Według danych Bankowego Funduszu Gwarancyjnego z początku tego roku zwrot depozytów zgromadzonych w trzech kasach – Wołominie, Wspólnocie i Kujawiaku – kosztował aż 3,2 mld zł. Jednak w ostatnich miesiącach po pieniądze zgłaszają się też klienci kas Polska i Jowisz, a teraz dojdą do nich ci, którzy ulokowali swoje pieniądze w Arce. W sumie te trzy kasy miały ponad 350 mln zł depozytów.

Na tym jednak wcale nie koniec liczenia kosztów, jakie ponosi Bankowy Fundusz Gwarancyjny. Pięć innych kas bowiem co prawda nie upadło, ale za to zostało przejętych przez banki. Te oczywiście nie zrobiły tego za darmo. PKO BP otrzymał prawie 300 mln zł na ratowanie SKOK Wesoła, a Pekao SA dostał ponad 100 mln zł, żeby wchłonąć SKOK Kopernik. To i tak lepsze rozwiązanie niż bankructwo, bo wówczas w BFG trzeba by znaleźć odpowiednio ponad 600 i prawie 450 mln zł na wypłatę depozytów dla poszkodowanych klientów. Na swoistego eksperta w przejmowaniu kas wyrasta Alior Bank, który najpierw podjął się ratowania SKOK im. św. Jana z Kęt (dostał na to z BFG 16 mln zł), potem wchłonął SKOK Wyszyńskiego, a teraz połyka kasę o nazwie Powszechna. W sumie zatem szacunkowy rachunek za sprzątnięcie po SKOK przekroczył już z pewnością 4 mld zł. Na te pieniądze złożyły się głównie działające w Polsce banki, czyli po prostu wszyscy ich klienci.

Kolejne bankructwa i przejścia są kwestią czasu, bo kondycja wielu SKOK pozostaje fatalna. Niedawno Komisja Nadzoru Finansowego wprowadziła zarządcę komisyjnego do Twojej SKOK. Równocześnie szuka chętnego do przejęcia SKOK Skarbiec, której grozi upadłość. Tylko kilka kas nie jest objętych postępowaniem naprawczym i spełnia wszystkie wymagania kapitałowe. Sektor cały czas dogorywa, rząd PiS żadnego problemu nie dostrzega, a banki mają do wyboru – przejmować następne kasy, chociaż to w większości nic niewarte wydmuszki, albo nie przejmować i czekać na kolejną podwyżkę składki płaconej do Bankowego Funduszu Gwarancyjnego. (C.K.)



Sopot mówi „nie” golasom

Lada dzień w mieście ruszy kampania „Stop golasom”, której celem jest zwrócenie uwagi na niestosowny ubiór osób wracających z plaży, jej pomysłodawcami są członkowie Stowarzyszenia Turystycznego Sopot. Akcja ma przypomnieć gościom, że Sopot jest eleganckim kurortem, w którym plaża rządzi się innymi

prawami niż struktura miejska. Jednogłośnie w tej sprawie gastronomicy zadeklarowali, że powieszą w swoich lokalach **plakaty** „Nieubranych klientów nie obsługujemy”, autorstwa **Jacka Staniszwskiego**. Kampania „Stop golasom” to plakaty z hasłem kampanii i wlepki, które rozmieszczono w lokalach gastronomicznych i na słupach będą przypominać o tym, że spacerując po mieście, trzeba ubrać się inaczej niż na plażę. M.Z.



Mobbing w Ministerstwie Transportu

To, co robi kierownictwo resortu, ma charakter długotrwałego szykanowania połączonego z utrudnianiem pracy. Bez żadnych podstaw – mówi Maciej Lasek, szef Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych

GRZEGORZ RZECZKOWSKI: – Zaszedł pan za skórę politykom PiS działalnością w zespole, który za rządów PO prostował kłamstwa na temat przyczyn katastrofy smoleńskiej. Ale nadal jest pan szefem Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych.

MACIEJ LASEK: – PKBWL, którą od prawie pięciu lat kieruję, zawsze była daleka od wikłania się w politykę. Samoloty nie wiedzą, jakie są przekonania polityczne pilota. Liczą się umiejętności i przestrzeganie procedur. Czy ktoś popełnił błąd czy nie. Te same standardy były także w „zespolu Łaska” czy tzw. Komisji Millera, gdzie zajmowaliśmy się katastrofą samolotu pod Smoleńskiem. PKBWL bada zdarzenia z udziałem samolotów cywilnych – od motolotni po pasażerskie liniowce. Efektem naszej pracy są zalecenia mające poprawić bezpieczeństwo w lotnictwie. Nie orzekamy o winie i odpowiedzialności. Naszym celem nie jest też „podobanie się” czy, jak pan to nazwał, „zachodzenie za skórę” politykom.

Mimo to „dobra zmiana” pamięta o panu. Niedługo ma zostać uchwalona ustawa, która umożliwi odwołanie pana z PKBWL.

Najistotniejsze w projekcie jest to, co zostało napisane na samym końcu, czyli artykuł dający możliwość ministrowi właściwemu do spraw transportu wymiany całego składu komisji. Bez żadnych ograniczeń, bez żadnych warunków. Przepis ten mówi, że po 30 dniach od wyjścia w życie nowelizacji członkowie PKBWL tracą pracę. Co prawda mogą zostać powołani ponownie, ale nie muszą. Za to nawet jeśli zostaną powołani, to tylko na czteroletnią kadencję, a nie bezterminowo jak do tej pory. Wprowadzenie kadencyjności to jest najmocniejszy cios w niezależność komisji; na to żaden z dotychczasowych rządów się nie zdobył. Jeśli przepis wejdzie w życie, jej członkowie staną się podatni na polityczne naciski. Nie posłuchasz, nie dostaniesz nominacji na kolejną kadencję. Proste. Co prawda próby naciskania na członków komisji się zdarzały, ale do tej pory, m.in. dzięki mocnym gwarancjom niezależności, jakie mamy, nigdy nie przyniosły skutku.

Co więcej, nawet po wejściu zmian proponowanych przez posłów PiS, żadne, podkreślam, żadne przepisy nie dają ministrowi transportu prawa do oceny merytorycznej pracy komisji. Takie prawo mają jedynie zewnątrz, międzynarodowi audytorzy, m.in. z ICAO [agenda ONZ odpowiadająca m.in. za bezpieczeństwo w ruchu lotniczym] lub ENCASIA [Europejska Sieć Organów Badających Wypadki Lotnicze w UE], a wniosek o odwołanie członka komisji może złożyć do ministra jedynie sama komisja, o ile poparła go bezwzględna większość. Więc po co te zmiany?

Minister może powiedzieć: mam takie prawo.

Ależ właśnie o to chodzi, że nie ma. Rozporządzenie Parlamentu Europejskiego i Rady UE w sprawie badania wypadków i incydentów w lotnictwie cywilnym mówi, że komisjom takim jak nasza musi być zapewniona niezależność funkcyjna, odpowiednie środki na działanie oraz swoboda w ich dysponowaniu, a członkowie komisji, wykonując swoje czynności, do nikogo nie występują o instrukcje ani takich instrukcji nie przyjmują.

Wiceminister transportu Jerzy Szmit, który nadzoruje sprawy lotnictwa cywilnego w tym resorcie, na ostatnim posiedzeniu sejmowej komisji infrastruktury był uprzejmy powiedzieć o pracy PKBWL: „obserwuję komisję od dłuższego czasu i widzę potrzebę głębokich zmian”. Uważam, że troskę, którą pan wiceminister otacza komisję, należy czytelnikom nieco przybliżyć. Jerzy Szmit jest wiceministrem resortu od listopada ubiegłego roku,

ale dotąd nie spotkał się ani z członkami PKBWL, ani ze mną, jej przewodniczącym. Podobnie zresztą jak minister Andrzej Adamczyk. Za to pod koniec grudnia minister za pośrednictwem dyrektora departamentu lotnictwa w Ministerstwie Infrastruktury i Budownictwa zasugerował, że oczekuje złożenia przeze mnie rezygnacji. Ponieważ tego nie zrobiłem, odebrał mi upoważnienia do wydawania pieniędzy na badania oraz reprezentowania ministra przy zawieraniu umów. Do tej pory każdy szef PKBWL miał takie pełnomocnictwa. M.in. po to, by mógł jak najszybciej zlecać wykonanie ekspertyz niezbędnych przy badaniu zdarzeń lotniczych. PKBWL prosiła o wydanie pełnomocnictw trzy razy. Jediną odpowiedzią, jaką usłyszeliśmy, było: „taka jest decyzja kierownictwa”. Bez uzasadniania, na żółtej karteczce doklejonej do innego dokumentu, bez podpisu.

Brak tych decyzji doprowadził do sytuacji, że pierwsze ekspertyzy, które mogliśmy zamówić, zostały wykonane z półrocznym opóźnieniem. I tylko dlatego, że po naszych usilnych prośbach wiceminister Szmit – po czterech miesiącach – udzielił pełnomocnictw swemu podwładnemu, czyli dyrektorowi departamentu lotnictwa cywilnego. Decyzji oczywiście nie uzasadnił.

Wiceminister od początku swego urzędowania nie podpisywał delegacji na moje wyjazdy służbowe – krajowe i zagraniczne. Także bez uzasadnienia. Pierwszy w tym roku wniosek o wyjazd – miałem jechać do Dębina, by szkolić studentów tamtejszej szkoły oficerskiej – wrócił do mnie zmięty i przedarty wpół z doklejoną karteczką z adnotacją „minister nie wyraża zgody”. Sytuacja powtarzała się kilka razy. Nie dostawałem delegacji nawet wtedy, gdy musiałem jechać badać wypadki. Za każdym razem wracały bez podpisów. To ewidentne utrudnianie pracy PKBWL, za co prawo lotnicze przewiduje karę do roku więzienia. Minister nie ma żadnych podstaw, by móc decydować, kto z komisji ma jechać i badać wypadek, a kto nie.

Odebrano nam też, po raz pierwszy w 14-letniej historii działania PKBWL, prawo do samodzielnego publikowania wyników naszej pracy na stronie internetowej ministerstwa, a także zakazano publikowania statystyk pracy komisji na stronie internetowej ministerstwa oraz przekazywania tych danych na zewnątrz. Te działania mają cechy długotrwałego mobbingu połączonego z utrudnianiem pracy komisji. Bez żadnych podstaw.

W uzasadnieniu do nowelizacji ustawy o prawie lotniczym napisano, że komisji zostaną zapewnione „gwarancje niezależności”, a zapisy, które „budziły wątpliwości w zakresie zachowania niezależności PKBWL”, zostały usunięte.

Z perspektywy ostatnich miesięcy użyte w uzasadnieniu sformułowania brzmią jak ponury żart. Z jednej strony nie powinniśmy być zaskoczeni tym, co nas spotyka, szczególnie obserwując to, co się dzieje dookoła, ale z drugiej strony jesteśmy zdziwieni tym, jak psuje się dobrze działający system badania zdarzeń lotniczych, który funkcjonuje od 14 lat. System, który jest doceniany przez naszych kolegów z innych komisji zagranicznych. Żeby móc badać wypadki lotnicze, trzeba mówić prawdę. Nie można być koniunkturalistą. Czym kończy się grzebanie w systemie bezpieczeństwa lotów, pokazała katastrofa smoleńska. Wtedy jednak psucie systemu było ograniczone do jednej jednostki wojskowej, dzisiaj natomiast będzie miało wpływ na całe lotnictwo cywilne w Polsce.



Zamach samobójczy

ŁUKASZ WÓJCIK

Przewroty wojskowe w Turcji to już swego rodzaju świecka (*nomen omen*) tradycja. 1960, 1971, 1980, 1997 – za każdym razem wojskowi obalali rządy uznane przez nich za zagrożenie dla modelu państwa ustanowionego przez Kemala Atatürka w latach 20. XX w. Państwa laickiego, nie tyle areligijnego, ile antyreligijnego, w którym stabilność polityczna zawsze dominowała nad wolnościami jednostki.

Poprzednie zamachy były jednak udane. Tureccy wojskowi intuicyjnie postępowali według reguł skutecznego zamachu stanu, które dopiero ostatnio są opisywane przez takich badaczy jak Naunihal Singh. Nigdy nie występowali więc wbrew nastrojom społecznym. Dotychczas armia interweniowała tylko w atmosferze wyraźnego niezadowolenia z rządzących polityków. Wojskowi zawsze mieli też swojego polityka, który stawał się twarzą zamachu i formalnie przejmował władzę, gdy już czołgi wracały do koszar. Mieli w końcu wojskowi ścisły plan działania, z rozpisanymi rolami dla wszystkich, co było możliwe dzięki jedności towarzyskiej i ideologicznej w armii.

Żaden z tych warunków nie został spełniony 15 lipca. W nieudanym zamachu udział wzięło zaledwie ok. 6 tys. z 640 tys. tureckich żołnierzy. Co prawda tymczasowo zajęli

To był z pewnością najdziwniejszy zamach stanu w historii Turcji.

Dziwny nie tylko dlatego, że się nie udał, ale że nie mógł się udać.

kilka kluczowych miejsc w Stambule i Ankarze, ale jednak nie udało im się przekonać innych żołnierzy, że już wygrali i warto się do nich przyłączyć.

Spiskowcy nie znaleźli też twarzy dla siebie. Być może z powodu głębokiej konspiracji nie byli w stanie zapewnić sobie politycznej bazy poparcia. Jeszcze w poniedziałek nie było wiadomo, kto ich reprezentował, jakie mają cele, z jakich pobudek działali. Rada Pokoju, która ujawniła się w piątek wieczorem, pozostała bezimienna, a jej manifest brzmi, jakby został napisany w pośpiechu na masce trzęsącego się czołgu. Ta konspiracja, która doprowadziła do piątkowej prowizorki, była efektem rozpadu armii jako jednolitej ideowo instytucji i braku zaufania w korpusie oficerskim.

Zamach się nie powiódł, bo jego kierownicy zupełnie zignorowali także nastroje społeczne. Prezydent Recep Tayyip Erdoğan jest bardzo polaryzującą postacią, ma w Turcji śmiertelnych wrogów. Ale listopadowa wygrana jego partii w wyborach parlamentarnych (41 proc. głosów) nie była przypadkiem. Erdoğan zbudował sobie bazę realnego poparcia społecznego wśród Turków, którym 14 lat jego rządów odmieniło życie. I to zarówno w wymiarze materialnym, jak i tożsamościowym. Konserwatywni wyborcy AKP, przez dekady traktowani w Turcji jak obywatele drugiej kategorii, w końcu poczuli, że to również ich państwo, że jest w nim miejsce również na ich religijność. Stąd szczery odzew, z jakim spotkał się piątkowy apel prezydenta o obronę jego władzy przed czołgami na ulicach. ►

► Na pytanie, dlaczego doszło do próby zamachu, są w zasadzie trzy odpowiedzi, jedna gorsza od drugiej.

W pierwszym przypadku trzeba by założyć pewien poziom szaleństwa lub politycznej ignorancji wśród przywódców zamachu, którzy porwali się na ruch wręcz samobójczy. Racjonalna ocena ich motywacji mija się z celem, decyzja o zamachu mogła mieć raczej źródła ideologiczne. Musiała to być wyizolowana grupa oficerów, żyjąca iluzjami przywrócenia dawnego porządku i wyjątkowej roli politycznej, jaką ma do spełnienia armia.

Druga odpowiedź jest zarazem groźniejsza i bardziej realna. Mianowicie, że nieporadność zamachu była spowodowana presją na samych zamachowców. Że mogła to być sytuacja z rodzaju: teraz albo nigdy. Tureckie wojsko już dawno nie jest ostoją kemalizmu. Po serii przeważnie sfingowanych procesów najwyższych generałów Erdoğanowi i jego sojusznikom z tzw. ruchu Gülena udało się wymienić trzon sztabu generalnego i dowódców kluczowych jednostek. Tyle że od dwóch lat trwa konflikt między samym Erdoğanem i gulenistami, tworzącymi coś w rodzaju potężnej do niedawna, półjawnej organizacji społeczno-religijnej. Prezydentowi udało się już wypchnąć dawnych sojuszników z takich instytucji jak policja czy wymiar sprawiedliwości. Ale została armia.

Interpretacja w tym przypadku jest więc następująca. Erdoğan był o krok od rozprawienia się z gulenistami w wojsku, na portalach społecznościowych przed zamachem krążyły listy oficerów-gulenistów, którzy mieli być zatrzymani... 16 lipca. Ta grupa, nie mając już nic do stracenia, dzień wcześniej dokonała więc chaotycznej próby zamachu, który nie mógł się powieść. Pytanie brzmi, na ile świadomie Erdoğan podkręcał presję na gulenistów w armii z zamiarem sprowokowania ich do jakiejś radykalnej reakcji?

Tu dochodzimy do trzeciej, najpopularniejszej spiskowej teorii wydarzeń – że to był fałszywy zamach, inspirowany i kontrolowany przez ludzi prezydenta Turcji, aby dać mu pretekst do ostatecznego rozprawienia się z opozycją, zmiany konstytucji i wprowadzenia już formalnie ustroju na wpuł dyktatorskiego. Ale ta wersja również ma wiele słabych punktów. Co najmniej 265 ofiar, pół tysiąca rannych, próby linczu na żołnierzach – pewnych rzeczy nie da się wyreżyserować, a i spektakl mógł się wymknąć spod kontroli.

Tak czy inaczej, nieudana próba zamachu stanu może się okazać turecką wersją pożaru Reichstagu. Erdoğan ma teraz tak silną pozycję, że może zrobić z Turcją, co zechce. Było to już widać po pierwszych reakcjach po zamachu – dokończenie czystki w armii, masowe aresztowania (ewidentnie przygotowane wcześniej) nieprzychylnych sędziów i prokuratorów. Następnym krokiem może być rozprawa z polityczną reprezentacją mniejszości kurdyjskiej, czyli z Ludową Partią Demokratyczną (HDP), której niespodziewane wejście do parlamentu pozbawiło AKP większości konstytucyjnej. Paradoksalnie więc ten człowiek, który dopiero co cały spocony kontaktował się ze społeczeństwem przez telefon komórkowy, prawdopodobnie nigdy wcześniej nie był tak silny jak teraz. Również w wymiarze międzynarodowym.

Jednym z ubocznych efektów zamachu było zmuszenie zachodnich przywódców do jasnego opowiedzenia się „za” lub „przeciw” Erdoğanowi. Trudno sobie wyobrazić, że poparliby oni wojskową juntę, więc wyboru w zasadzie nie mieli. I dlatego jeszcze w piątek wieczorem kanclerz Angela Merkel w reakcji na kryzys w Turcji opowiedziała się „za” Erdoğanem, mówiąc, że „czołgi na ulicach i ataki z powietrza przeciwko własnemu społeczeństwu są bezprawiem”. W podobnym duchu odezwał się sekretarz stanu USA John Kerry i przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk: „UE całkowicie popiera wybrany

w Turcji demokratycznie rząd, instytucje i państwo prawa”. Wybór stron w tym konflikcie, choć moralnie wątpliwy, politycznie nie mógł być inny. Okazuje się jednak, że nie dla wszystkich.

Ale polska prawica od kilku dni lansuje tezę o bezgranicznej hipokryzji zachodnich przywódców w sprawie Turcji. Zarzut jest następujący: jak mogą oni nazywać Erdoğana demokratą i jednocześnie oskarżać polski rząd o autorytarne zapędy, choć w Turcji właśnie aresztowano ponad 2 tys. sędziów, a w Polsce mamy jedynie polityczny spór wokół Trybunału Konstytucyjnego. Czy w sprawie Turcji głos zabierze Komisja Wenecka? – drwi pravicowa prasa.

Pomijając już fakt, że żadne instytucje międzynarodowe czy obce rządy nie podważają demokratycznej legitymacji polskiego rządu (bo przecież nie o to chodzi w zastrzeżeniach dotyczących ustawy o Trybunale Konstytucyjnym), to rzeczywiście trudno nie zauważyć, że zachodni liderzy stosują wobec Erdoğan'a taryfę ulgową. To jest najczystsza „realpolitik”, bo Turcja jest dziś podwójnie istotna dla Europy. Po pierwsze, jako kraj frontowy w wojnie z tzw. Państwem Islamskim, także kraj, od którego może zależeć pokój w Syrii. Po drugie, jako bufor powstrzymujący tysiące migrantów z Bliskiego Wschodu w ramach niesławnej umowy z UE.

Oburzenie prawicy na hipokryzję Zachodu jest tym bardziej obłudne, że przecież Turcja – w przeciwieństwie do Polski – jeszcze żadnych unijnych traktatów nie podpisała i już pewnie nie podpisze, a także, choć formalnie jest członkiem NATO, to w praktyce pozostaje kapryśnym „zewnątrznym sojusznikiem”. Toteż wymagania wobec Polski i Turcji są zgoła inne. Unijny traktat lizboński w art. 2 mówi o podstawowych wartościach UE, które dalece wykraczają poza demokratyczny sposób wyłaniania władz, i których Turcja w większości nie spełnia. Polska na razie jest na bakier z zawartą tam zasadą państwa prawa, stąd upomnienia pod adresem Warszawy. Narzekania prawicy w tym przypadku przypominają nieco zachowanie dorosłego, który nie może się pogodzić z tym, że od dzieci wymaga się mniej.

Co nie oznacza, że turecko-polskich podobieństw politycznych brak.

Wręcz przeciwnie. I Erdoğan, i Kaczyński w swoim czasie wypłynęli na fali podobnego niezadowolenia społecznego głównie ze strony prowincji i odrzucenia starej elity politycznej wyznającej ideologię modernizacji. Obaj zaproponowali wymianę elit społecznych i Erdoğan właśnie kończy to przedsięwzięcie. Obaj dla celów wewnętrznych grają na antyzachodnich nastrojach, podkreślając obyczajową zgniliznę Europy Zachodniej.

Obaj postawili na sentymentalizm i regionalną mocarstwowość w polityce zagranicznej, co w tureckim przypadku już doprowadziło do katastrofy. Obaj próbują podporządkować sobie media, sądownictwo i wszelkie niezależne instytucje. Obaj wreszcie używają religii jako politycznego napędu.

Erdoğan, podobnie jak Orbán, fascynuje polską prawicę. Eksperyment z „nieoliberalną demokracją” tam zaszedł najdalej. I choć podobieństwa między Polską a Turcją są ułomne, turecka droga do sułtanatu jest i dla nas przestrogą.

ŁUKASZ WÓJCIK



Co z tą Turcją? Gorąco polecamy nasz najnowszy „Pomocnik Historyczny” poświęcony dziejom Turków i ludów turekijskich. Jego lektura pozwala lepiej zrozumieć m.in. podległość obecnej sytuacji w Turcji. Szczegóły na s. 69.

Terroryzm hybrydowy

Po zamachu w Nicei górę bierze zniecierpliwienie i ton oskarżenia wobec władz.



Mohamed Lahoualej Bouhleb przyjechał do Francji z Tunezji w 2005 r. jako 20-latek. Wybrał Niceę jak większość mężczyzn z rodzinnego miasteczka M'saken koło Sus. To tereny turystyczne, raczej zasobne, hotel przy hotelu, przynajmniej dopóki arabska wiosna nie pograżyła tunezyjskiej turystyki. W Nicei, wśród 40 tys. rodaków, mieli swoją wspólnotę, w którą Mohamed wsiąkł. Dostał kartę stałego pobytu, woził towary furgonetką, ożenił się, miał troje dzieci.

6 lat temu zaczęły się kłopoty z policją: drobne przestępstwa, kradzieże, separacja z żoną, zakaz zbliżania się z powodu przemocy domowej. Stawał się, mówią sąsiedzi, coraz bardziej agresywny, skryty, depresyjny (okazało się teraz, że przed wyjazdem do Francji przechodził długie leczenie psychiatryczne). Ale ciągle żaden meczet czy ramadan, krąg zainteresowań: siłownia, kobiety, salsa. W styczniu dostał pół roku w zawieszeniu za pobicie sąsiada, który prosił, żeby przeparkował furgonetkę. Miał długi, odmówiono mu kredytu, ostatnio stracił pracę, bo zasnął za kierownicą. 11 lipca wypożyczył za 4,5 tys. euro 19-tonową ciężarówkę chłodnię.

Ten życiorys sprawcy warto było przytoczyć, choć dziś to mało istotne dla 84 ofiar śmiertelnych i ponad 200 rannych jego ataku terrorystycznego na nicejskiej Promenadzie Anglików. Ale dobrze się mieści w profilu terrorystów nowej generacji. Młodzi z arabskimi korzeniami, często samotni, raczej zasymilowani, normalni, wrośnięci w lokalne społeczeństwa, o dosyć

rozrywkowym trybie życia, wchodzący w drobne konflikty z prawem, późno odkrywający związki z islamem i rosnące poczucie odrzucenia. Co powoli pcha ich w związki z tzw. Państwem Islamskim (PI).

31-letni Bouhleb to nowy model: terrorysta hybrydowy, jak ich zaczęto we Francji nazywać po akcie Yassina Salhiego z zeszłego roku, który w podobnych okolicznościach życiowych z zimną krwią obciął głowę swojemu szefowi i jej zdjęcia wysłał do Syrii kolegom zwerbowanym przez PI. Tu nie ma siatki spiskowców, kodowanych telefonów, materiałów wybuchowych, skomplikowanych przygotowań i scenariuszy. Banalność morderczego aktu z Nicei mogłaby nieść pocieszenie, że po ubiegłorocznej czarnej serii (146 ofiar) udało się zapobiec aktom terroru o bardziej profesjonalnym charakterze. To oznaka rosnącej słabości PI (o topniejącym terytorium i wpływach) lub/i większej skuteczności służb.

Także nicejskiej chałupniczej zbrodni można było zaradzić, wyłączając w ten wieczór święta narodowego i fajerwerków ruch samochodowy w centrum miasta. Skoro jest stan wyjątkowy i w Nicei od miesiąca spodziewano się zamachu. W mieście jest już 15 kamer na kilometr kwadratowy i w tym roku podwójnie ostro tu ćwiczą: przed karnawałem w lutym i mistrzostwami Euro, kiedy to odpierano nawet hipotetyczny atak jądrowy, bakteriologiczny i chemiczny. Teraz jednej ciężarówce udało się dokonać w tym systemie bolesnej wyrwy. Zresztą

niedawny raport parlamentu dotyczący ubiegłorocznych ataków nie pozostawiał na francuskich służbach specjalnych (jest ich sześć i podlegają trzem ministrom) suchej nitki.

Dlatego w opinii publicznej, w przeciwieństwie do poprzednich zamachów, górę nad odruchami współczucia i solidarną żałobą bierze zniecierpliwienie i ton oskarżenia wobec władz. Ekipie prezydenta Hollande'a nic już chyba bardziej nie zaszkodzi w sondażach, tak są niskie. Ale też wyraźnie widać, że czasy beztrojski odeszły całkowicie w niepamięć. Sytuacja codziennego zagrożenia terrorem, czy chce się czy nie, musi całkowicie przeorać życie codzienne. Właściwego przykładu (i ostrzeżenia) dostarcza Izrael, tamtejsze rozwiązania dotyczące bezpieczeństwa i tamtejsze służby, słynne ze skuteczności, ale też bezwzględności. Coś za coś, taka jest cena do zapłacenia.

Zbrodnię w Nicei wzięło na siebie Państwo Islamskie, późno, po 36 godzinach, ale zdaniem ekspertów nigdy nie podpisuje się ono pod cudzymi zamachami. Szczegóły organizacyjne nie są znane, ale jak donosi „Le Monde”, w śledztwie pojawiło się już kilka „interesujących nazwisk” i kontaktów zabójcy.

Dlaczego Francja znalazła się na pierwszej linii PI, co jego rzecznicy wielokrotnie potwierdzali? Bo mocno zaangażowała się w walkę z PI w Syrii, a także wcześniej choćby w operacjach w Libii i Mali. Ale też dlatego, czego również nie ukrywa propaganda PI, że ciągle jest symbolem: laickości państwa, wartości republikańskich, również w szczegółach, jak stanowczy zakaz chust w miejscach publicznych. Ma też 9 mln swoich muzułmanów, różne słoje i warstwy, i różne zaszczości, choćby wojnę algijską. Ma model asymilacji, oparty na języku i szkole, separacji państwa i religii, żadne tam multi-kulti. Ten model często działa dobrze, ale też często szwankuje. W mocno rozwarstwowionym społeczeństwie jest potężny ładunek frustracji i stąd nieukrywana przez PI pokusa, żeby je na dobre skłócić i podzielić. Aby sfrustrowanym pozostała tylko desperacja i walka, a reszcie – uogólniające odrzucenie obcych.

Właśnie się zaczyna nowa kampania prezydencka. Przyszłoroczne wybory w dużym stopniu zamienią się w referendum na temat imigrantów. Marine Le Pen, której Front Narodowy zbudował kapitał na ich odrzucaniu, w sondażach ma już miejsce w drugiej turze. W sondażach jeszcze sprzed Nicei.

WITOLD PAWŁOWSKI

Jarosław Kaczyński nie tylko stawia pomniki swemu bratu, zaczął je budować także sobie. Jeszcze nie ze spiżu, na razie ze słów. Jego autobiografia to poza wszystkim pożyteczna lekcja dla dzisiejszych polityków opozycji.

Prezes według prezesa



Ukazała się zapowiadana od dawna polityczna autobiografia prezesa PiS „Porozumienie przeciw monowładzy. Z dziejów PC” (swoją drogą pierwsza część tytułu to niezłe motto dla Schetyny i Petru). Czterystustronicowe dzieło zatrzymuje się na 2001 r., co znaczy, że kolejne tomy nadejdą. Ale i ten pierwszy mówi wiele o Jarosławie Kaczyńskim – przez to, co napisał, ale też, co przemilczał.

Linia przewodnią autobiografii jest prezentowana na różne sposoby wizja: byli dwaj bliźniacy i reszta. Książkę otwiera zdanie: „Polityka zaczęła się dla mnie i Leszka w marcu 1968 roku”. I tym ściegiem – Ja i Brat – idzie cała opowieść, choć bywały okresy, gdy aktywność braci się rozmięła, a też oddalenie (Leszek mieszkał przez wiele lat na Wybrzeżu, Jarosław cały czas w Warszawie) nie sprzyjało częstym kontaktom. Niemniej książka te okoliczności niejako przeskakuje, gdyż autor (zapewne był też jakiś *ghost-writer*) cały czas równolegle opowiada, co robi brat bliźniak. Dla czytelników może być jednak sporym rozczarowaniem, że ta biografia prawie nie zawiera wątków osobistych, rodzinnych, szkolnych, studenckich.

Dowiadujemy się zatem od razu – i tak poznajemy bohatera – że Jarosław Kaczyński działa w opozycji w końcu lat 70., i o tym, że podobnie działa Leszek w tzw. Wolnych Związkach, a potem podczas strajków stoczniowych. I niemal natychmiast Jarosław zauważa, że Leszek „nie tylko nie był w najlepszych stosunkach z Wałęsą, ale też nie chciał się dać przekupić”, bo tak zostały odebrane słowa Wałęsy: „jak masz jakiś kłopot, to przyjdź do mnie, jak do ojca”. W dodatku czytamy: „Leszek naraził się jeszcze w stoczni doradcom z Mazowieckim na czele. Powtarzam, miał ciężko”. O co tak dokładnie chodziło, nie wiadomo, choć od kilkunastu lat Jarosław Kaczyński próbuje budować legendę, że jego brat – choć nie wskazują na to żadne historyczne dowody – był bez mała równoważny Wałęsie i tzw. wielkim doradcom Solidarności, tyle że miał inną koncepcję programową. Ale to on w zasadzie zarządzał związkiem. (Wałęsa już odpowiedział na te uzurpacje w swoim stylu: trzymałem przy sobie Lecha jako posłusznego wykonawcę).

Lata 80., po Grudniu, są opowiedziane w podobnym tonie, a zaczynają się od internowania Leszka i nieinternowania Jarosława, co – zdaje się – nadal pozostaje źródłem jego jakiegoś kompleksu. Stwierdza w książce, że esbecy proponowali mu internowanie, ale odmówił i napisał stosowne odmawiające oświadczenie (co wydaje się kompletnie niewiarygodne). Niemniej bracia działali w podziemiu, mamy kronikę tej aktywności, przy czym Jarosław lubi podkreślać niejako zwierzchnią wobec niego pozycję Leszka, typu: Leszek polecił czy przekazał mi polecenie. Charakterystyczne, że Lech z kolei lubił powtarzać, że prawdziwym mózgiem politycznym jest Jarosław. Ich skomplikowane relacje rodzinno-polityczne, gdyby miały miejsce w kraju o większym, globalnym znaczeniu, stałyby się bez wątpienia światowym fenomenem.

Leszek i ja

Autor nie pisze tego wprost, ale nie ulega wątpliwości, że po kilkunastu latach przecierania się i po intensywnym doświadczeniu Okrągłego Stołu u braci bliźniaków (a zwłaszcza u jednego) zaczęły nasilać się ambicje polityczne i przekonanie, że polityka jest bezwzględna grą, w której liczy się tylko wygrana. Zatem bez żadnego zawstydzania zaczął przymierzać się do najwyższych pozycji i ról dla siebie i dla brata, najpierw dyskretnie, a potem jawnie i wprost. I skutecznie. Jarosław uważał porozumienia

Okrągłego Stołu – twierdzi, że od początku – za wymuszoną taktykę: „Dla Leszka i dla mnie (wciąż ta ulubiona figura stylistyczna książki) »okrągły stół« był czymś, co przypominało grę Józefa Piłsudskiego w czasie pierwszej wojny światowej. Nie odrzucił on deklaracji dwóch cesarzy, choć nie była satysfakcjonująca, przeciwnie – uznał ją za krok, który służył polskiej sprawie, wnosił ją na arenę międzynarodową”.

Gdy rodziła się idea rządu z pierwszym niekomunistycznym premierem, bliźniacy, a przede wszystkim Jarosław, byli w swoim żywiole. Rząd solidarnościowy jak najbardziej tak, ale nie pod kierownictwem Bronisława Geremka. Przy okazji autor książki nie kryje, że po prostu go nie lubił, że zawsze walczył z jego „monopolistyczną” pozycją w podziemnej Solidarności, uważał go za krypto- czy postkomunistę. Nie szczędził mu złośliwości. Monopol Geremek-Michnik-Kuroń miał ponoć dogadać się z „czerwonymi”, a zwłaszcza z Aleksandrem Kwaśniewskim, zyskać sympatię Amerykanów i akceptację Rosjan. I przejąć władzę nad Polską, przekształcając ruch Solidarności w podległą im lewicową partię polityczną (Polską Partię Solidarności – PPS).

Nic dziwnego więc, że o Adamie Michniku miał – jak twierdzi, już wtedy – negatywną opinię. Po jakiejś ich rozmowie w 1989 r. stwierdził: „on ciągle żyje w świecie tradycyjnej lewicy, szczególnie Komunistycznej Partii Polski”. Nic dziwnego więc, że bliźniacy – wtedy jako doradcy Wałęsy – decydują się popierać kandydaturę Mazowieckiego na premiera, choć nie był to w ich mniemaniu kandydat idealny, a nawet dobry, o czym można przekonać się przy dalszej lekturze książki. Gdy doszło do tzw. wojny na górze, czyli rywalizacji Mazowieckiego z Wałęsą o prezydenturę, bliźniacy jednoznacznie postawili na Wałęsę („potencjalnie był naszym zdecydowanie największym atutem”, „Naszym”, czyli Leszka i Jarka). Potem zresztą Wałęsę porzucili i brutalnie zaatakowali. W czasie wojny na górze (1990 r.) powstały dwie ważne partie ROAD – protoplasta Unii Wolności, oraz Porozumienie Centrum – załóżek PiS.

Książka wchodzi przy opisie dekady lat 90. w szczegóły, drobiazgi, dygresje. Trochę to zrozumiałe, gdyż tak wiele naraz się dzieje, kiedy przechodzi się przez kolejne kadencje Sejmu i rządy, przez kryzys czerwcowy 1992 r., przez powrót do władzy postkomunistów, przez aferę Olina, tworzenie AWS i rządu Buzka, aż do jego katastrofy. Na tę opowieść o kolejnych bataliach, układach, koalicjach, rozłamach, przyspieszeniach, o objeżdżaniu kraju, zebraniach, kontraktach i intrygach została jednak nałożona nadbudowa ideologiczna.

Dwie tradycje

Dzisiaj okazuje się, że przez wszystkie te lata, w różnych konfiguracjach i odsłonach politycznych, trwała walka między dwiema Polskami, dwoma projektami. Z jednej strony było „środowisko, które wyłoniło się w trakcie długiego, bo rozpoczętego w 1956 r., a może nawet wcześniej, procesu dekompozycji polskiego komunizmu, składało się z osób, które w zdecydowanej większości – albo osobiście, albo przynajmniej poprzez ścisłe związki rodzinne – były zaangażowane w jego wspieranie. A z autentycznymi polskimi tradycjami politycznymi nie miały one wiele wspólnego”. Z drugiej strony znajdowały się właśnie te „autentyczne polskie tradycje polityczne”, które miały silnie wystąpić w pierwszej Solidarności, choć nie w sposób spójny. A więc katolicyzm, tradycja narodowa o – „przynajmniej w sferze ekonomicznej” – całkowicie nieliberalnym charakterze. „Odnowienia starych polskich tradycji politycznych obawiano się także poza naszym krajem, szczególnie u zachodnich sąsiadów”.

Tak więc Polska liberalna (symbolizowana tu zrazu przez Michnika i Geremka) przeciwko Polsce tradycyjnej, narodowej i katolickiej, której symbolicznymi nosicielami byli Jan Olszewski i Kaczyńscy. Jarosław wielokrotnie pisze w książce o swoich relacjach z Kościołem, o próbach budowania partii, która ►